

Remont ostatniej szansy

Dwa miesiące później babcia dzwoni prosić o ostatnią szansę dla ojca. Że on mi zrobi remont. Potrafi otynkować ściany i pomalować. Nawet płytki umie. Nawet panele. Nie pije już z sześć tygodni, może lepiej. Pensję w tym miesiącu przyniósł, nie przepił. O niego wszyscy zabiegają, tak się na wszystkim zna. Dzwonią do babci, czy mógłby u nich pracować. Ale może lepiej, jeśli ja mu dam pracę? Taką za darmo, na grzechów odpuszczenie.

– Tym razem się uda – mówi niepewnie – może da mu to dodatkową motywację.

Mam ochotę wyrzucić z siebie koronkę ostentacyjnych westchnień, że jak długo można być ofiarą pijackiej manipulacji. Jednak zamiast tego zaczynam kalkulować.

MINUSY (one pierwsze przychodzą do głowy):

- * Wedle moich obliczeń w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie zdarzyło mu się wytrwać w abstynencji dłużej niż kilka miesięcy;
- * Nikt nie zna sposobu na jego picie. Żaden prof. dr hab., żadna córka, matka, Pan Bóg ani Bozia;
- * Najebany sterczy pod klatką, a ja boję się wyjść z domu;
- * Sąsiedzi mają dosyć udawania, że nie czują kwaśnych wyziewów przetrawionego alkoholu i że wymiociny pod zsysem należą do psa buldoga z piątego piętra;
- * Wymiociny sprzątam ja;
- * Nie lubię wymiocin;
- * Kiedy znowu pojawia się na horyzoncie, miewam ataki furii lub niekontrolowanego płaczu lub furii i płaczu, lub furii, płaczu i kilkudniowych apatii. Nowy pracodawca nie będzie zadowolony;

PLUSY:

- * Zaoszczędzę na ekipie remontowej;
- * A może jak zobaczy, że go tak zupełnie nie skreśliłam, faktycznie przestanie pić? Może zostaniemy córką i tatą?

Jedziemy do Ikei. Mieliliśmy sobie po drodze coś opowiedzieć, ale świst tramwaju rozprasza. On palcami szura po wnętrzu dłoni. Słyszę jego skórę, jest jak papier ścierny. I jeszcze bzyczenie pasażerów wyciekających z paszczy wagonu na każdym postoju. Siedzę ululana przez te dźwięki, zadowolona, że dzięki nim nie muszę wymyślać. Odliczam w głowie, ile zostało do przesiadki. Pięć przystanków. Niedługo trzeba się będzie do siebie odezwać.

Na szczęście od razu łapiemy autobus. Jest starego typu, przegubowy. Warkocze. Kolejna szansa, żeby poróżnić z zacieków na szybie. Ale on się uparł, żeby nie.

– To co u ciebie, córka, słychać? – pyta.

– Po staremu – cedzę, nie spuszczać oczu z zacieków. Może wyczytam z nich, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Aha – ojciec nie odpuszcza. – Jak w szkole?

„Co za pytanie?” – myślę. Czy on naprawdę chce usłyszeć, że wyjazd do szkoły to był tylko pretekst, żeby od nich w końcu uciec? I że dlatego ta szkoła nie mogła być w Krakowie, Wrocławiu czy Berlinie, ale na drugim końcu świata? I że wybrałam doktorat z rocznym okresem adaptacyjnym plus dwa lata na doszkolenie języka, żeby zapewnić sobie możliwie najdłuższą ścieżkę edukacyjną poza Polską? I jeszcze, że ten doktorat z pogranicza historii sztuki i filozofii – miał mi zagwarantować bycie kimś, bo dotychczas żyłam życiem osoby, która nie jest warta choćby esemesa z „wszystkiego najlepszego” na osiemnaste urodziny. A kiedy zdecydowałam się wrócić do Polski, bo babcia ma swoje lata i powinnam być bliżej, przeszło mi koło nosa niezłe

stypendium, potencjalny dyplom, mieszkanie pod palmą, ale również coś dużo bardziej cennego – świadomość bycia najdalej od niego, jak tylko się da.

Zamiast tego wszystkiego z moich ust wypływa:

– Zrezygnowałam. Nie będę pisała doktoratu.

– I dobrze – mówi, jakby stawiał kropkę na końcu przydługiego zdania.

Toczymy się dalej buspasem, wyczerpani miastem, drogą, sobą. Myśłami buszujemy po możliwych scenariuszach rozmowy, ale każdy wydaje się jakiś na wyrost. I znowu, kiedy jesteśmy tuż przy przystanku, kiedy bezkarnie możemy zająć się wysiadaniem, wyznaczaniem trasy do sklepu, wpatrywaniem w chodnik, wszystkim, tylko nie bolesną wymianą zdań, ojciec decyduje się wyłamać z paktu ciszy.

– Dobrze. Że. Do. Nas. Wróciłaś. Do. Polski – każde słowo wypowiada z uwagą, starannie, przy każdym podskakuje mu wąs jak u jakiegoś zwierzaka. Parskam. Nie chcę się śmiać, widzę, że go krzywdzę, ale nagle, akurat w tym momencie, objawiła mi się ta szczecina baraszkująca na górnej wardze, te rozweselone siwiejące trociny. Znalazłam się w Disneyu z lat czterdziestych. Mój kreskówkowy tata wyskakuje na sprężynie z kolorowego pudła, podkręca wąs, wołając „tadam”. Kataryniarz przygrywa wesołe melodyjki, Myszka Miki przyklaskuje. Czas jednak wrócić przed Ikeę. Już nie parskam. Mówię: „Sama nie wiem”, i maszeruję dalej. Z rękoma w kieszeniach, z Mireczkiem człapiącym za mną.

Ma na sobie sandały, roznoszone, porwane, z odpadającą podeszwą – idealne do człapania. Wyglądają jak strzępy materiału przypadkowo przyklejone do stóp, zwłaszcza ten z niezabandażowanej nogi. Z każdym „kłap, kłap”

chce się od Mireczka uwolnić. Co chwilę musimy zwalniać, żeby naciągnął sandał. Drugi przeciwnie. Ten jest za mały, przydusza zawiniątko stopy, które rozsadza szczeliny i dziurki buta, jakby miało zaraz eksplodować. Ojciec kuleje. Nastąpił – po pijaku? – na zardzewiały gwóźdź. Dziś rano widziałam opuchnięte truchło stopy. Sine, nabrzmiałe wyciekającą ropą. Zdechły wieloryb. Leżało bezwładnie na dywanie, a ojciec coś przy nim skubał.

– Może byś tak zdezynfekował? – powiedziałam, ale ojciec tylko ciepnał wieloryba na parodniowy bandaż i owinął jak w całun. Ciekawe, czy ma tam jeszcze czucie? Zimą babcia zadzwoniła, że ojciec po raz kolejny zgubił buty i wracał boso przez roztopy. „A może mu ukradli? A może sprzedał za wódkę? Tylko kto by takie obszar-puchy chciał? Pewnie jednak zgubił. To już któryś raz” – biadolila. Pytam ojca, czy to wtedy się stało. „Daj spokój” – macha ręką i wstaje na znak, że już czas do tej Ikei.

I oto jesteśmy. Ikea wita nas billboardem o szczęśliwej rodzinie. Szczęśliwa rodzinka wybiera nowy stół. Szczęśliwa rodzinka obwozi szczęśliwego bobasa wózkiem po sklepie. Szczęśliwa rodzinka testuje kanapy i materace. Na wejściu wpadamy na znajomych znajomych. Są właścicielami knajpy w Śródmieściu. W wózku wiozą kieliszki do wina i kwiaty, obaj świeżo od barbera, obaj w nike'ach. Uporczywie nie patrzą na ojca, dyskretnie kiwają nażelowanymi głowami na cześć i znikają na płycie parkingu. „Znajomi?” – ojciec próbuje zagaic kolejną rozmowę, ale tym razem się nie daje i od razu skręcam po hot doga. Jeszcze w drzwiach daję mu bez słowa dwa złote, żeby nie musiał prosić. Nie jestem głodna, ale mam ochotę napchać puste od wyrzutów usta prażoną cebulą. Zamawiam bułkę bez parówki, ale z dodatkami.

Obserwuję, jak ojciec człapie z tacą do kontuaru, a potem zjada hot dog na dwa kęsy. Do sandałów założył czapkę z daszkiem, koszulkę polo i džinsy. Za duże, bo kiedyś to był potężny facet, ale wyprane, wyprasowane. Babcia się postarała, żeby przed przyjazdem cyknął paznokcie i przystrzygł wąsy. Ogarnia mnie nagła czułość wobec tego faceta w worku zamiast spodni. Klepię go w plecy na znak, że czas ruszyć na sklep. Ramię w ramię zmierzamy ku schodom. Zauważam, że moje nogi też zaczęły człapać: orientują się bardziej na boki i jakoś tak ciężiej opadają na podłogę, najpierw pięta, potem paluchy. Jakby mówiły: „kocham cię”. Totalnie niesubordynowane.

Jak najszybciej i bez słowa mijamy dział dziecięcy, wchodzimy na „meble do pracy”. Wydaję polecenia, żeby ojciec spisywał numery: „to krzesło”, „tamten blat”, „ta lampka”. Płyniemy dalej poobiednio, ociężale. Razem z bułką po hot dogu trawię żal po dzieciństwie. Na „kuchni” wymieniamy już ze trzy zdania, w „jadalni” może i dziesięć, a „sypialnie” wywołują potok. Mimo nieczytanych bajeczek na dobranoc, nieutulonych koszmarów, pobudek w środku nocy pijackim waleniem w drzwi – paplamy. Jakie śliczne. Jakie praktyczne i wspaniałe. Szafki nocne, budziki, lampy. Oglądamy wszystko dobrych dwadzieścia minut. Na „szafach” już planujemy. To rozwiązanie do szuflad jest takie sprytne. Weźmiemy? Może innym razem, na jesieni. Między zębami wciąż zgrzytają kawałki prażonej cebuli. Całkiem mi przyjemnie.

W każdym z działów ul. Ubrani w niebieskie uniformy pracownicy kręcą się wokół nas jak robotnice wokół zagrożonej królowej. Patrzą na sandały Mireczka, potem na jego splekane ręce. Obliczają trajektorię do najbliższego przedmiotu z wystawy. Buzują. Wgapiam się w nich

nachalnie i, wciąż się wgapiając, wciskam ojcu w dłoń rzeczy, których wcale nie chcę, zupełnie przypadkowe: najpierw poduszkę w grochy, potem zestaw szklanek, na końcu kielicha do wódki. Myślę sobie, że to niezły witz, ale zespół Ikei nie łąpie żartu. Niebiescy roją się po kątach, radzą. A my jeszcze sztucce, jeszcze wazonik i narzutę na łóżko. Mam na sobie kieckę Massimo Dutti wartą 449 zł (po koleżance) i czółenka Vagabond za 549 (po innej). Jestem tarczą Mireczka. Człapię.

Różowo nam

– Córuchna, zobacz! – woła z dużego pokoju. Biegnę oglądać. Wygladzona ściana z maziąjem z różowej farby, którą sama wybrałam. Ojciec w poplamionym kombinezonie odpala mi mentolowe malboro, a sobie czerwonego l&ma z jednej z dziesięciu paczek, które kupiła mu babcia, „aby nie wychodził za często do kiosku”. Na akord zaciągamy się dymem i na akord wzdychamy z zachwytem.

– No powiem ci, że jednak fajny ten kolor. – Sztach.
– Dobrze to wszystko sobie – wydech – obmyśliłaś – sztach.

Odpalamy jeszcze po jednym i znowu w tę różowiuchną plamę. Sąsiadce świszczą czajnik, że właśnie ugotowała się woda, więc i u nas zrobiło się przytulnie. Domowo. Mireczek chyba też tak czuje, bo nagle bierze go na zwierzania.

– Ja to bym tak chciał znowu kochać. Tak naprawdę kochać. – Wydech. – Jest taka jedna. – Sztach. – Kubitka fest, mówię ci. Poznałem ją tu, w Warszawie. Kochałbym ją jak nigdy nikogo. – Dłuższy wydech. Z płuc i z serca, na dwa razy.

Ja na to: sztach – sztach – wydech.

On: – Ona będzie na spotkaniu AA pojutrze. Chyba se pójde. – Sztach.

Ja: – A o której to AA? – Wydech – sztach – sztach – sztach.

On: – Dobrze będzie, nie bój. – Sztach.

Razem: wydech.

Na odchodne cykam fotkę kolorowej maziai na dowód, że u mnie już jest jak w bajce. Klikam opublikuj. Po paru sekundach mam pierwszego lajka.

Ryk

68 Wszysciutko się sprawdziło. Ojciec wychodzi na ten swój „mityng”, po czterech godzinach jeszcze go nie ma i nie odbiera telefonu, po czterech i pół „abonent jest czasowo niedostępny”, po pięciu zastawiam na wszelki wypadek drzwi wejściowe krzesłem i stołem, po sześciu słysząc ryki na klatce schodowej. Dalej idzie według znanego schematu: sąsiad wzywa policję, lecą „stul pyski” i „chuj ci w dupy”. Więcej mi się nie chce opowiadać.

Trumienka

Serce wali. Zjeżdżam windą na parter. Dźwig jest z lat siedemdziesiątych. Rzęzi. Od małości panicznie się go bałam. Na dobranoc babcia czytała mi *Ferdynanda wspaniałego* i najlepiej z tej czytanki zapamiętałam scenę, w której Ferdynand odbywa podniebną podróż dźwigiem osobowym. Dużo rozmyślałam, na ile jest prawdopodobne, że coś podobnego może mi się przytrafić. Skoro w moim domu, w epicentrum wszystkiego, regularnie przechodzi huragan, to co dopiero na rubieżach tego i tak rozchwanego świata?

W windzie, samochodzie, na narciarskim stoku, zatłoczonej ulicy, w innym mieście, za granicami kraju. A, o zgrozo, w samolocie? A na innym kontynencie? Dlatego zaczęłam zapobiegawczo wybierać schody. Przez ponad dziesięć lat wędrowałam wte i wewte na siódme piętro. Łydki sobie wyrzeźbiłam stalowe i wymówkę żelazną: „to dla dobrej kondycji”. Taką wersję miałam dla sąsiadów wiecznie zdziwionych na mój widok: manewrującej na półpiętrze z rowerem górskim na plecach. Przecież nie mogłam w odpowiedzi wyjechać z Ferdynandem z patodomku, w którym patowindy działają na prawach katapult.

Miewałam regularnie wizje, bo nawet nie były to sny, że winda nie zatrzymuje się na siódmym piętrze, tylko jedzie dalej na ósme, dziewiąte, dziesiąte i tak aż do tysięcznego albo lepiej. W trakcie podróży luzują się w niej śrubki, odpadają tabliczki, w końcu ściany. Wciskam się w literkę „L” utworzoną z ocalałych desek, ale zaraz podłoga odpada, a ja wiszę na pędzącej wyżej i wyżej tratwie.

I nagle to przeszło. Sama nie wiem jak i kiedy, ale na długie lata. Jeździłam windami bez strachu, czy to na pierwsze, czy na sto pierwsze piętro. Nonszalancko wręcz, z „ach, proszę na mnie poczekać” i skokiem do kabiny. Zdawało mi się, że zamknęłam kwestię wind, jednak chyba nie dość szczelnie. Bo oto teraz płynę w dół i razem z windą tworzymy jedno rozdygotane ciało. Stuk, chrzest, cyk, cyk, cyk, odmierzam centymetry dzielące mnie od przepaści. Zatykam uszy palcami wskazującymi, pozostałymi masuję skronie. Czujna na każdy przechył, płynę dalej, coraz niżej. Jest ciemno, nie widać nic. Jest tylko jechanie w dół i w dół.

Zupełnie jakbym nie wysiadła z tej windy, jakbym nie przeszła korytarzem do schodków na półpiętro, potem

drugich do piwnicy. Jakbym w pęku kluczy nie odnalazła tego właściwego, jakbym nie otworzyła piwnicznego włazu, nie zaciągnęła się stęchlizną, nie zapaliła latarki w telefonie, nie oświetlała nią tabliczek na drzwiach do segmentów trzeciego, ósmego, pięćdziesiątego czwartego i dalej w poszukiwaniu osiemdziesiątego siódmego, nie manewrowała pomiędzy łapkami na szczury. Jakbym nie zatrzymała się na samym końcu korytarza tuż przy lufciku, którego światło pada akurat na rozłupaną kłódkę, jakbym nie szepnęła „ja pierdolę” na widok tego, co zostało po drzwiach do naszego składziku, jakby nie uderzyła mnie fala wstydu na widok pisemka „Wild Cats”, o którym myślałam, że w dzisiejszych czasach nikt go nie ogląda, jakbym nie odnalazła go pod górą z puszek po mocnym i trzech jaboli, trunku również z poprzedniej epoki. Jakbym nie zawylała jak zwierzę nad tą górą, nie spakowała jej w byle jaki karton, nie przykryła kirem szalika, który akurat miałam na sobie, żeby broń Boże nikt w drodze do zsypu nie zobaczył zawartości kartonowej trumienki. Jakbym w zsypie, w kartonowym pudle z „Catsami” i mocnym nie pochowała Mireczka trzy lata przed tym innym pogrzebem.

Sekcja

Raz dziennie dzwonię do babci zapytać o wyniki sekcji zwłok.

– Czekamy – odpowiada babcia za każdym razem, a ja za każdym razem czuję się winna, że w ogóle pytam.

Ale to jakieś nieprawdopodobne, żeby człowiek był i bez żadnej przyczyny nagle przestał. Nikt nie umiera ot tak. Co na to policja, prokurator, lekarz? Nawet nie zdążyłam powiedzieć mu „ty chuju jeden”. To się nie godzi.